

Od autora: Kolejna miniatura z cyklu "Dawno temu w lipcu", do przeczytania której gorąco Was zachęcam. Tytuł zapożyczyłem ze znanego przeboju Nat King Cole'a. Życzę miłej zabawy!

Monice...

- *Hej, mister Sandman, przynieś mi sen*, a w nim mojego ukochanego. Niech będzie słodki i przystojny, czuły jak lipcowa bryza znad morza, niech nosi mnie na rękach. Chyba nie proszę o wiele? Chcę, żeby ktoś mnie pokochał. Ja też chcę pokochać. Spełnisz moje sny?

Clare miała ładne, brązowe nogi, wydatne usta, mahoniowe włosy i pisała poezję. Jej subtelność mogła onieśmielać, dobre wychowanie działać jak płachta na byka, a sposób, w jaki formułowała swoje myśli, zdawał się być kwiecistym wierszem w szarym życiu, gdzie liryka ma raczej pod górkę.

Powiecie: nie na czasie, ale każdy ma na świecie kogoś, kto kiedyś zapuka do jego drzwi. Jeśli szuka się miłości, ona wcześniej czy później przychodzi, macie to jak w banku. Ta mała wierzyła, że jej dzień nadejdzie, że ten wyśniony przyjdzie i powie: „To ja, kotku!”. Słuchała tej piosenki zwykle wieczorem i czekała, aż on wejdzie w orbitę jej życia.

I wtedy pojawiłem się ja.
Nie było we mnie wahania – doskonale wiedziałem, co chcę zrobić.
Po prostu to zrobiłem.
Napisałem do niej szczerą list, bo ogłosiła się w rubryce matrymonialnej w lokalnej gazecie. Pięknie się opisała, więc poczułem się zaproszony.
Po kilku miesiącach odkryliśmy swój miłosny zakątek, własne, małe miejsce na ziemi, jakby stworzone specjalnie dla nas, czekające przez wszystkie, poprzednie lata na nasze nadejście.
I nadeszliśmy, młodzi i zakochani, płynący w powietrzu jak jasne duchy radości, z uśmiechem na twarzach, niedbający o to, co przyniesie przyszłość, ufni, że nie stracimy naszego skarbu, tego, co dało nam nieprzewidywalne życie.

Wracaliśmy tam, by znów to poczuć – do zajazdu „Pod różowym łososiem”.
W tym zacisznym miejscu oddała mi swoje dziewictwo.
Była taka ciasna, taka moja.
Czasami na moment zastygałem w niej i czułem całą jej gorącą kobiecość, obejmującą mnie ściśle, czule, tak, że choćbym szukał pięknych słów, mogących opisać mój raj, nawet za sto lat znalazłbym stek lichych bzdur, mamrotałbym bezrozumnie o tym, co dał los, a ja byłem niemym świadkiem, kimś, kto wszedł w temat i chyba coś po sobie zostawił.

Potem zawsze prosiła o cappuccino.
Piła je spokojnie i niespiesznie, patrząc mi głęboko w oczy i posyłając całusa, choć przed chwilą byliśmy

ze sobą, ona jednak chciała cały czas czuć tę więź, więc było tak a nie inaczej.
Zachłanni, chcieliśmy spędzać ze sobą jak najwięcej czasu i tak też było: wydzieraliśmy go śmiało życiu, bo wędrówka po ziemi, to odciskanie na niej swego małego piętna.
Ktoś powiedział, że liczą się tylko chwile, jednak myślę, że liczy się całokształt, to, co nas definiuje, i jak my definiujemy innych.

Il cielo in una stanza.

I obok mijał czas: gasły tygodnie, odchodziły w niebyt miesiące, lata umykały, jak pędzące pociągi, które miały zabrać cię na Dzikie Zachód, a zabrały do wioski, gdzie kończy się trasa.
Bo nasz związek nie potrzebował fajerwerków, czasem zwyczajne, proste dawanie siebie więcej znaczy niż srebro i złoto tego świata, bardziej raduje, daje poczucie bezpieczeństwa.
Bo to kochanie nie ostygło, coś, co zaczęło się dawno temu, przetrwało.

Na Walentynki pojechaliśmy tam znów.

Clare była bardzo wesola, podniecona, tryskała energią, chciała jak najszybciej pójść na wieczorną kolację przy świecach, która miała składać się z łososia z rusztu, frytek i bukietu sałatek oraz solidnej porcji niemieckich piw, jakie oboje pijaliśmy pasjami, kochając się w łózkach, na podłodze, w trawie, na plażach, na pomostach, na pace samochodu, w wodzie na stojaka, na materacu, gdziekolwiek, gdzie uznaliśmy, że chcemy być ze sobą.

Zawsze mieliśmy magnetofon, z którego szedł śpiew Elvisa bądź Cliffa Richarda, rzadziej Stonesów lub Paula Anki. Jeśli miałbym powiedzieć o idealnej miłości, powiedziałbym o naszym, małym kochaniu, „tu i teraz”, gdzieś w życiu, które nie gardzi zakochanymi.

Byliśmy bardzo zwyczajną parą, szarą i nieaspirującą do bycia bożkami Hollywood.

Ot, on i ona, kobieta i mężczyzna, trochę magii i elektryczności.

Prosty chłopak ze wsi i świetna dziewczyna z miasta, układ niepotrzebujący analiz poetyckich.

Mieliśmy naszą wyspę na jeziorze, tonącą w błękitach cichej, sennej wody, niezmałconej nawet jednym zbędnym oddechem niedorzecznego, zatrutego cywilizacyjną lichotą świata.

Pływaliśmy tam łódką, i kiedy leżała na materacu, całowałem jej stopy, każdy paluszek z osobna, a ona delikatnie ssła mojego członka, potem zrzucałem ją z materaca i brałem tak, jak bierze się kobietę swojego życia. Obok świat uśmiechał się i prosił o więcej, miał rację, bo my nigdy nie mieliśmy dość: byłem z Clare wiele razy, jakże gorąco, jakże naturalnie, jak bywa się z damą, która zaprosiła cię do swego królestwa – byłem tam „kimś” i czułem się tym, co nie za pionka uchodzi, a dostawszy przyzwolenie, może wszystko, a nawet więcej.

Każdego dnia wkładała koronę na moją głowę i czyniła mnie królem.

Wracaliśmy tam, by znów to poczuć – do zajazdu „Pod różowym łososiem”.

Byliśmy jedyną parą, która akurat się zatrzymała, ale to nam nie przeszkadzało.

Mieli niesamowite jedzenie, kameralne, ciche pokoje, gdzie byłem z tobą do białego rana.

Pamiętasz, Clare, wszystkie nasze dzieci pojawiły się po pobycie „Pod różowym łososiem”?

Czyż to nie piękne, przecież i Henry, i Megi, i Norman, i Paul, urodzili się po naszych gorących, niezapomnianych przygodach pod tym dachem, jakież to amerykańskie, jakie zwyczajne w całej swej magii.

I niech mi nikt nie mówi, że wszystkie domy są takie same, bzdura na resorach, nie są.

Tylko Jeremy urodził się po tym, jak byłem z tobą na łące, w czerwcu, wśród setek kwiatów, gdy świat obiecywał spełnienie marzeń, a my mieliśmy swoje – nasz pierwotny urodził się zdrowy i silny, a obok lato czule szeptało, że mężczyzna i kobieta to ideał, ideał, rozumiecie?

Clare, a jesienią 1968 roku, kiedy byłem z tobą pod prysznicem...

Wtedy coś stało się z twoim oddychaniem.

Co, nie wiem, astma, inny szajs, mętnie gadali, ci mędracy medycyny.

Potem powiedzieli, że to na tle nerwowym, że w chwilach wielkiej ekscytacji możesz udusić się, jak to możliwe, co to za bzdety, ludzie po studiach, puknijcie się w puste czerepy!

- Mike, zrób mi cappuccino, ok.? – poprosiłaś.
- Jasne, skarbie – odpowiedziałem.
- Zaparz tak, jak jeszcze nigdy nie parzyłeś – powiedziałaś.
- Co to ma znaczyć?
- Czas nie lubi nas.
- Hej, o co chodzi?
- Signiorina Cappuccina mówi ciao.
- Ale co to za tekst?
- Zaśpiewasz mi coś Nat King Cole'a?
- Jasne, kochanie, co zechcesz.
- No to... - i tu zaślabłaś.

Potem zabrano ją do szpitala, a po szpitalu wróciła do domu.

Była blada i przeźroczysta, jakby zła moc wyssała z niej zdrową energię.

Lekarze zalecili spokój i brak wzruszeń, wtedy ataki bezdechu nie powinny się pojawiać.

Lecz pomimo tego, że nasze życie dalekie było od burz i sztormów, co jakiś czas traciłaś oddech, a ja wtedy ratowałem cię, jak mogłem.

Potem wszystko wracało do normy, by znów kiedyś powrócić.

Któregoś dnia orzekli, że musisz spać w specjalnym aparacie oddechowym.

I tak już pozostało.

Ale nie miałaś przecież wyboru – często są nam narzucane z góry wybrane opcje.

Każdy kocha życie, bo umieranie może się dać nieźle we znaki.

Pewnego razu znów tam byliśmy, teraz już nie jako kochankowie, lecz leciwi emeryci.

Młodość to kolorowy ptak, który kiedyś musi odlecieć w inne strony.

Ptaku, słodki ptaku, ileż ci zawdzięczaliśmy!

Czy wyrazi to moje liche słowo?

Pewnie nie, choć bardzo bym chciał, bo pamięć wciąż miałem dobrą.

Zapaliłem długie, różowe świece, otworzyłem szampana, kelner przyniósł grillowane pstrągi, ukochane ryby Clare.

Patrzyłem na nią i czas zdawał się cofać do punktu zero.

Widziałem moją ukochaną, znów w rozkwicie, w lipcowej krasie, opaloną i seksowną.

Poezję w ruchu, ucieleśnioną magię, zjawisko, którego pomimo tylu lat, wciąż nie umiałem nazwać, choć żyłem w jego cieniu od zawsze, i każdego dnia w moim sercu była zwykła, ludzka radość, że ona jest przy mnie, że budzę się przy niej i nie ma we mnie lęku.

Teraz spoglądałem na siwą babcię, niefarbującą już włosów na wciekły mahoń, pogodzoną z tym, co przyniosą kolejne dni, jednak dla mnie kobietę życia, radość moich łedźwi – co z tego, że od lat nosiła sztuczną szczękę, co z tego, że popuszczała mocz, chyba nie jesteśmy od tego wolni, my, ludzie starzy, schorowani, niewolni od niedoskonałości?

Pięknie się zestarzeliliśmy, życzę wam tego, i byście nigdy nie stali się zręczliwymi dziadami.

Moja Clare odeszła pięć lat temu, w sędziwym wieku, że tak powiem.

Choć tak długo jestem już sam, nigdy nie żaliłem się na swój los.

Coś odchodzi, coś przychodzi, tak to jest, nie?

To życie razem, co mam powiedzieć?

Że było boskie?

Jasne, właśnie to chcę rzec, że to cud na ziemi, jeden raz, tylko jeden, ten jedyny.

Że wciąż mam to w głowie?

Też byś miał na moim miejscu.

Bo z prawdziwą kobietą życie nie boli, możesz mi zaufać, bo z prawdziwą kobietą smakuje każdy alkohol, każdy papieros i każde łóżko.

Położyliśmy się spać i Clare włączyła swój ulubiony serial.

Przez chwilę nawet się śmiała, żywo gestykulowała, coś mi tłumaczyła, wesola i pochłonięta tym, o czym chciała mi powiedzieć, promienna i pełna tego, co zwie się werwą, bo kątem oka widziałem, że czuje się świetnie i jest bardzo pobudzona, to mnie uradowało, jako że każda jej mała radość była moją, a teraz czułem, że znów jest w swoim sosie, jak za dawnych lat.

Patrzyłem razem z nią i nawet nie zauważyłem, kiedy umarła.

Tak zwyczajnie, tak cicho, jak żyła, tak niezauważalnie, jaką była osobą.

Nigdy nie robiła wokół siebie szumu, uważając to za rzecz niską i miałą.

Zgasła jak światło, które komuś dawało radość, jak słońce, które dawało nadzieję.

Nagle poczułem jej ciężką głowę na ramieniu, cięższą niż kiedykolwiek dotąd.

W tamtej chwili pocałowałem ją po raz ostatni.

Raz jeszcze dotknąłem jej włosów, policzków, przywarłem ustami do dłoni, wsunąłem w nią swoje drżące palce – drżały, jakby nagle znalazły się na dwudziestostopniowym mrozie.

Byliśmy, choć nas nie było.

Już nas nie było, jednak byliśmy.

Wtedy w moim umyśle puszczone nagle barwny film z przeszłości, ujrzałem przeróżne, kolorowe slajdy, i nie miałem cienia wątpliwości, jaki miały charakter.

Powiedziałem, spełniony i wolny od ciężarów:

- Dziękuję ci za każdy dzień, za każdą noc, malutka, za to, że zносиłaś moje muchy w nosie, za to, że kochałaś „pomimo”, czy mógłbym chcieć czegoś więcej? Razem stworzyliśmy słodki świat, w którym często brakowało mi tchu, byłaś tylko ty jak najpiękniejszy z prezentów, jaki można otrzymać. Padło na mnie, zwykłego, szarego chłopaka. Zawsze czułem się dzięki tobie kimś wyjątkowym, kto przeszedł zupełnie inną drogą, bo tak właśnie miało być. Nie zmarnowaliśmy nawet minuty. Mam wrażenie, że pomnożyliśmy je, tworząc nieskończony skarb. Wciąż mam na ustach twoje pocałunki, wciąż pamiętam ciepło dłoni. Smak skóry. Zapach włosów. Tego nikt mi nie odbierze. Stały się częścią mnie, moją krwią, moim oddechem, moim jestestwem. Dałaś mi wspaniałe pięćdziesiąt jeden lat małżeństwa, świetne dzieci, udane życie. Nikt nie dałby więcej. Kocham cię, Clare, kocham cię na śmierć.

Kiedy jakiś czas temu dowiedziałem się, że nasze miejsce kupił młodociany, rozparzony bogacz z dużego miasta, taki w najdroższym samochodzie i butach za roczną wypłatę zwykłego szaraka, i bezceremonialnie zamknął zajazd, czyniąc sobie z niego dom, poczułem się nieszczególnie, wręcz podle, choć i to nie odda w pełni, jak mnie to wówczas zabolalo.

Chciałem tam od czasu do czasu wpaść, spędzić noc w naszym pokoju, poczuć zapach tej niezwyklej miłości, który na trwałe wszedł w ściany, sufit i podłogę, zabrać album z twoimi zdjęciami, powspominać.

Teraz jeżdżę tam raz na pół roku, jeden z synów mnie wozi, sam już nie prowadzę, nie te oczy, i razem stoimy przed „Różowym Łososiem”, on widzi tylko zwyczajny budynek, dach i cegły, ja zaś nasze kochanie, nasze niesamowite życie, każdą szczerozłotą godzinę, Clare, i ciebie, i mnie, właśnie to widzę. To się nigdy nie zmieni, malutka, wiemy to oboje.

Cykl: *Dawno temu w lipcu*

24 lipca 2014

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 07.09.2014 08:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.